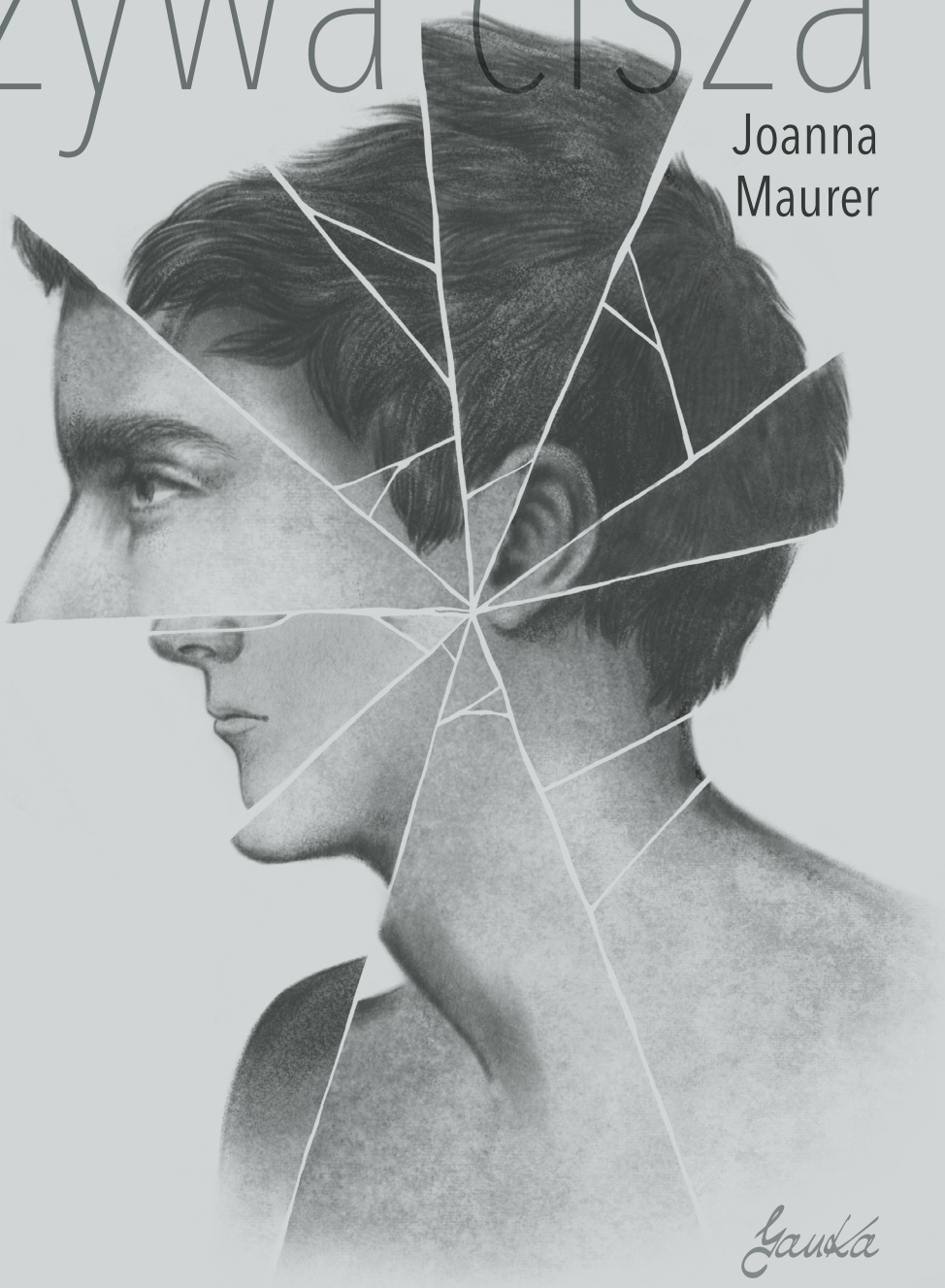


żywa cisza

Joanna
Maurer



Gauka

Żywa cisza



Joanna Maurer, rocznik 1988. Urodziła się w Nowym Sączu, wychowała w Zarzeczcu koło Łącka. Z wykształcenia etnologka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i Uniwersytetu Masaryka w Brnie. Autorka artykułów z zakresu badań nad migracjami oraz książki *Sousedé. Migrace Poláků do Česka a Čechů do Polska* po roce 2004. Literacko debiutowała opowiadaniem *Tak zwana podróż na łamach kwartalnika „FA-art”*. Mieszka w morawskim Brnie, związana z Sądecczyzną.

[Kup książkę](#)

Joanna Maurer

Żywa cisza

Lauka
2025

[Kup książkę](#)

Copyright © Joanna Maurer
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2024

Wykorzystywanie całości lub części publikacji jako danych wejściowych lub korpusu treningowego w modelach generatywnych, które mogą tworzyć tekst, obrazy lub inną treść jest niedozwolone bez osobnej umowy z posiadaczami praw.

Wydanie I – cyfrowe
Pruszków 2025

ISBN 978-83-68015-02-7
[fragment]

[Kup książkę](#)

Honza spotyka Hanę

Zbliżał się czas kolacji. Honza przekładał w szafie.

Szafa była duża, trzyskrzydłowa. Biała sklejka, lustro, przesuwne drzwi. Skandynawski design. Rzeczy Honzy zajmowały niewiele miejsca. Trzy starannie wyprasowane koszule wisiały w środkowej części. W koszykach na dole skarpety i slipy, poukładane według kolorów. Z lewej strony, na dwóch półkach, chociaż zmieściłyby się na jednej, kostki podkoszulków, spodni i swetrów. Na dolnej płaszczy zimowy, kamizelka, czapka, szalik, rękawiczki. W worku na śmieci, dla ochrony przed kurzem. W dolnej szufladzie kilka rzeczy z dawnego życia, trudnych do określenia jako pamiątki.

Od czasu do czasu zmieniał ułożenie na półkach. Lubił to. Przekładanie było ceremoniałem. Z mebli, do których się w życiu wprowadzał i od których się wyprowadzał, najlepiej pamiętał kastlik i wąską komódkę. Wszystko, co miał do dyspozycji w tak zwanym rodzinnym domu. Ciasnota, przyleganie, gniecenie się, żywe uczucie. Żalu. Meble były dla niego za małe, przypominały wyposażenie domu dla lalek. W sam raz dla chłopca, który żyje życie dla lalek.

Zamknął szafę, przysiadł na brzegu łóżka. Przez okno widok na mały park, za nim plac zabaw, skatepark. W ciepłe dni słyszał

stukot deskorolek. Od czasu do czasu zderzenie ciała z rampą, ziemią, krzyk. Po zachodzie słońca weselejące lub odwrotnie, smutniejące wraz z rozrzedzaniem krwi alkoholem, rozmowy młodych. Czasami udawało się zrozumieć, czego nie znoszą, o czym marzą.

Dzisiaj na rampie kołysały się dwie dziewczyny. W czapkach z daszkami do tyłu. Zadziwiające, że to wciąż jest w modzie.

Honza podszedł do okna. Wydawało mu się, że jedna z dziewczyn patrzy na niego. Uśmiechnął się, podniósł dłoń. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jest zbyt daleko, dziewczyna patrzy na kogoś zupełnie innego. Grymas nad własną naiwnością. Stary, powinien się skupić na dzieci i modlitwach. Nagle przypomniał sobie, że przecież nie zna żadnych modlitw. Poza tym modlitwy trzeba odmawiać. Wymawiać, zaklinać, mianować nimi rzeczywistość.

Kiedy myślał „modlitwa”, przypominała mu się rozmowa z przeszłości. „Kim jestem?”, zapytał kiedyś Dziadka, który naprawiał wybrzuszoną szufladę jego komódki. „Jesteś tym, kim sądzisz, że jesteś”. „A ty?”. „A co o mnie sądzisz?”. „Jesteś moim dziadkiem?” „Jeżeli tak mnie nazwałeś”. Honzie wydawało się wtedy, że powiedzieli sobie coś bardzo ważnego.

Upłynęło kilka lat, zanim zdrapał z rzeczywistości otaczającej konkubenta matki etykietkę Dziadek. Drapać musiał do krwi. Nie Dziadka, nie matki. Swojej.

Od tej pory wołał być ostrożny z modłami, nazywaniem i innymi aktami strzelistymi.

Zamknął szafę, wygładził kapę, wyszedł.

Na korytarzu spotkał jednego z opiekunów, który sprawdzał, czy opieszali mobilni dobrze się czują. A naprawdę, czy całe działo idzie na kolację, żeby nakarmienie wszystkich pierdzieli nie trwało zbyt długo. Odwzajemnili uśmiechy.

– Ale pan dzisiaj rozgadany – zażartował opiekun.

Honza zaczął się zastanawiać, kiedy tak właściwie przestał mówić. Nie w szkole, nie po śmierci matki, nie w domu dziecka. Mówił, kiedy zaczynał na pocztce. Mówił jeszcze, kiedy za szybko się ożenił, szybko rozwiódł.

Dzień dobry, dziękuję, do widzenia, do zobaczenia, żegnam. Zawsze mówił mało. Z czasem coraz mniej. Mniej, rzadziej, w końcu w ogóle i niewiele się zmieniło. Pracę wykonywał bez zarzutu. Przykładnością, punktualnością, nienagannym wykonywaniem obowiązków chciał sprawić, by niełatwo było go wyrzucić.

Potem doznał uczucia. Usłyszenia. Podczas rozmów słowa, których wysłuchał, wsiąkały od razu w głąb niego. Nie musiał czekać w trusim napięciu, aż dobrzmia, skończy się rozmowa, zdąży przemyśleć. Zrzucił balast bycia gotowym do odpowiedzi. Reagowania w sposób, który miałyby sens dla interlokutora. Wyrażania bez urażania. Zresztą nigdy nie było mu łatwo dobierać słowa. Pocił się, powoli składał zdania, w końcu mówił coś innego, niż chciał powiedzieć. Później rozpamiętywał.

Kiedy milczał, napotkani mówili więcej. Mościli się w ciszy. Otwierali. Jedni, ponieważ znaleźli w nim słuchacza, całą słuchownię, bez szmerów, zainteresowaną. Inni, ponieważ zdawało im się, że milczenie równa się dyskrecji, że mogą powierzyć Honzie swoje najskrytsze tajemnice. Afonia przeraża, ale także daje uczucie przyjemnej martwoty. Niejednemu, niejednej wydawało się, że kiedy wyznają niememu swoje przewinienia, uciszą swoją wstydliwą przeszłość. Dobiją ją.

Spotykał jeszcze innych, którym własne słowa w ciszy ciążyły. Odchodzili zgnębieni, zagubieni. Wypowiedzieli, a tu głusza. Wyznania bez odpowiedzi. Powrót do własnego odmętu.

Na kolację była *žemlovka*¹. Smak dzieciństwa i prawdy. Kiedy zrozumiał, że Dziadek nie jest dziadkiem, a matka i Dziadek rozumieli, że on rozumiał, na obiad była *žemlovka*. Danie na specjalnie okazje. Połykał wtedy za gorące, za duże kawałki. Opróżnił talerz, odszedł od kuchennego stołu zaszyć się w swoim kącie z kastlikiem i komodą, ze swoim poparzonym gardłem.

Jadalnia Domu Spokojnej Starości była przyjemnym pomieszczeniem. Przestronna, dobrze oświetlona. Pastelowe kolory.

Honza zazwyczaj przychodził później. Lubił rolę spóźnialskiego. Unikał ciżby ciał, tłoku głów, chmury rąk nad szwedzkimi stołami.

Teraz zapach jedzenia reanimował zjełczałe wspomnienia.

Zderzenia widelców z nożami, talerzami, brzdęk o podłogę. Stukot szklanek o blat stolika. Szuranie nogami. Szelest papierowych serwetek. Okupacja zmysłów. Także wzroku, który wyhaczył prostokąt pleców. Damskich. Ładnych, lekko wykrzywionych starością. Ktoś siedział na jego miejscu.

Stolik był trzysobowy, przy oknie. Siadywał przy nim Honza oraz pani z szóstego piętra, która nie przepadała za pogaduszkami przy posiłkach. Teraz naprzeciw niej siedziała kobieta. Stolik, chociaż otoczony trzema krzesłami, był za mały dla trojga. Prawa do miejsc w jadalni były jednak umowne. Czasem dochodziło do sporów o stół czy krzesło, ale stoliczkiem w kącie nikt się nie interesował.

Byłoby łatwiej, gdyby Honza mówił. Mógłby podejść, zapytać, przepraszam, co pani tutaj robi. Lub od razu jakoś ładnie, ale stanowczo opierdolić.

To musi być nowa, westchnął Honza. Niechętnie usiadł na pierwszym lepszym wolnym miejscu. Kobieta, z którą do tej

¹ Słodka potrawa z pieczywa, jabłek, mleka, twarogu; popularna w Czechach i Słowacji.

pory dzielił stół, posłała w jego stronę zakłopotany uśmiech. Obecność nowej męczyła ją. Nowa podjęła wysiłek wcielania się w siebie dla innych. Mówiła, chciała być miła.

Honza myślał o strategii na kolejny dzień. Przyjdzie wcześniej. Niech się te plecy nie przyzwyczajają do oparcia jego krzesła. Na razie obserwował ich ruchy. Podobały mu się.

Plecy podniosły się, obróciły. Nowa zauważyła Honzę, który zdążył już wytrzeszczyć oczy. Hana? Ktoś, kto zestarzał się na Hanę? Miała siostrę? Kuzynkę?

– Zaraz zwariuję. – Znajomy głos. – Nie, już zwariowałam. Powinna być od razu udać się do szpitala zamkniętego.

Hanka podeszła bliżej, stanęła obok Honzy. Wpatrywała się. Uporczywie. Z nadzieją w oczach. Szukała szczegółu, który należałby do kogoś innego, obcego. Iskierki dla nadziei, że to nie Honza. W twarzy, na szyi, w klatce piersiowej, w dłoniach. W końcu odeszła zrezygnowana.

– Pan zna tę nową? – zapytał mężczyzna siedzący obok Honzy.
– Niezła babka, taka energiczna.

Honza wzruszył ramionami, wstał od stolika, wyszedł.

Do nocy siedział z podkurczonymi nogami. Zmrok nieśpiesznie, ale gorliwie zalewał pokój. Skrywał jego ulubioną szafę, ściany, jego samego w szarzyźnie, później ciemności. Zza okna dochodził stukot deskorolek. Biba nastolatków. Śmiech, krzyki, pogroźki, prowokacje, w końcu bełkot. Pewnie z ust pachnących alkoholem, fast foodem. Ust, których wargi powoli pierzchły, żegnały stan upojenia, witały kaca. Położył się nad ranem. Resztki odgłosów przyjęły formę paplaniny. Lulanki sklejującej powieki monotonią nie spokoju, ale skrępowania. Obezwładnienia.

Gustav spotyka Hankę i Honzę

Gustav nie miał ochoty chodzić, ale zmotywowała go zasłyszana rozmowa. Petra umawiała się z sąsiadką.

Wziął prysznic, lepszą z koszul, pokropił się wodą kolońską. Po kolacji dołączył do grupki zbierającej się obok windy na ósmym piętrze.

Grupa elitarna. Siódme, ósme piętro. W Domu hierarchia obowiązywała od góry do dołu. Najniższe piętra, bezbarierowe, przeznaczone dla niemobilnych. Średnie dla mobilnych z gorszym standardem. Pokoje z najwyższych pięter były najlepiej wyposażone. Glanc, fotokomórki. Dokładniej sprzątano. Dawało więcej wolności. I wyższą cenę. Od szóstego w górę bogatsi. Ósme, najwyższa klasa. Dziewiąte to pokój dyrektorki, biuro księgowej, *meeting room* opiekunów. Władza. Poza tym gabinety lekarzy, rehabilitacyjne.

Miedzy Gustavem a Petrą zaiskrzyło od pierwszego wejrzenia na korytarzu wysokogatunkowego ósmego piętra. Oboje byli emerytowanymi pracownikami służby zdrowia. Zadbani, raczej cisi. Kiedy przemówią, brzmią spokojnie, stanowczo. Starsze osoby na tak zwanym poziomie. Obyci, zorientowani. Siadywali wspólnie do obiadów, kolacji (Petra nie jadła śniadań, niezdrowe dla zębów). Spacerowali.

Raz Gustav spędził u Petry noc. Przycisnęli się do siebie pod kołdrą, żadne nie miało odwagi na dalszy krok. Gustav wiedział, że nie może już liczyć na swoje ciało. Petrze, dotąd pewnej siebie, zmarszczki i obwisłości zmieniły się w kaniony. Zakuci w gorsety sędziwości, myśleli o tym samym. Głowy pamiętały, jak skakać po schodach, po łózkach, po sobie. Sekwencje ruchów, które należy wykonać. Ciała chciały odpoczywać.

Jednak wciąż się spotykali. Kiedy jest się z innymi, łatwiej być z sobą.

Do spaceru dołączyło kilka osób. Przechadzki odbywały się po pobliskim parku. Ruch od pewnego wieku obnaża. Powolność, niepewność, koślawość, kuśtykanie. Ratowanie sytuacji uwagami: skurcz, do dzisiaj noga była bez zarzutu, niskie ciśnienie. Niepotrzebne tłumaczenie nieuchronnego. Przytakiwali, pomagali sobie, trzymali sztamę.

Rozsiedli się na dwóch ławkach. Petra obok siebie posadziła Martinę: chociaż raz sobie pogadamy. Nie przepadała za nią. Za co chce się odegrać, Gustav świdrował w pamięci z lubością. Sam też się od czasu do czasu dąsał bez powodu. Grał na uczucia. Próbował wskrzeszać zazdrość. Bawił się w młodość. Teraz wychwytywał z rozmowy nieznane szczegóły z życia Petry.

Kilkanaście metrów dalej siedział mężczyzna. Z Domu, ale z niższego piętra. Gustav kojarzył, że – zdaje się – nie mówił. Obok kobieta. Mówiła, gestykulowała. Gość spoglądał to na kobietę, to przed siebie, kiwał tułowiem. Widoczna, odczuwalna energia, która była między nimi, udzielała się otoczeniu, aż wyższe sfery przerwały rozmowy i skupiły się na obserwacji. Podglądanie innych to wyborna rozrywka. Los innych jest wystarczająco bliski, by rozbudzić empatię, wystarczająco daleki, by w razie potrzeby wrócić do siebie bez szwanku.

Gustav zbladł, wstrzymał oddech. Znał tę kobietę. Gesty, ukryty w nich temperament. Poczuł mrowienie pamięci.

Kobieta, zmęczona pantomimą, opuściła ręce. Uśmiechnęła się nerwowo, usiadła na chwilę obok mężczyzny z dołu.

Przed Gustavem zapadła kurtyna pamięci. Głosy, twarze nakładały się na siebie. Twarze matki, ojca, szkolnych koleżanek i kolegów, nauczycieli, dawnych pacjentów, żywych lub martwych, jakiegoś taksówkarza, jakiejś kelnerki, spotkanych jeden lub dwa razy w życiu. Twarz młodej Hanki, raz poważna, raz roześmiana, w końcu drwiąca. Twarze innych kobiet, znajomych z Zachodu. Dzieci, dla których później występował. Znowu twarz młodej Hanki. Twarz starej Hanki, twarz kobiety z ławki obok.

– Gustav! Gustav! Wracamy! – Współtowarzysze byli już o kilka metrów dalej. Ile razy mnie wołali?

– Ja... ja jeszcze chwilę zostanę. Muszę... muszę zaczerpnąć świeżego powietrza...

Petra odfuknęła, chwyciła kogoś innego pod ramię.

Hanka obróciła się, rozejrzała. Spotkały się oczy – jej i Gustava. Odwróciła wzrok, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Czy możliwe, żeby go nie poznała?

Gustav miał pewność, że spokój, który odnalazł w Domu, właśnie został zburzony.

Usłyszał szczekanie psa. Zanim zdążył zlokalizować źródło ujadania, kundel targał go za nogawkę. Nie tknę go, nie tknie mnie. Noga na nogę, dłonie splecione na kolanach, bezruch. Zwierzę, zachęcone apatią ofiary, ochoczo rozszarpało spodnie. Wbiło kły w kostkę.

– Czemu go nie przegonisz, przecież cię gryzie! – zawołała Hanka. Obserwowali z Honzą rozgrywkę między człowiekiem a zwierzęciem. – Strzeplnij go z nogawki, Gustav, może jest wściekły.

A więc jestem zidentyfikowany. Hanka, wiedziona zawodowym instynktem, podeszła do Gustava.

Chciał się uśmiechnąć, ale jego policzki zeszywniały. Zamiast uśmiechu niezdarne chrząknięcie. Hanka westchnęła. Rzuciła kamieniem. Celowała obok, chciała postraszyć. Trafiła w łapę. Pies wystrzelił jak z procy, zniknął.

Hanka dotknęła nogi Gustava. Rana płytka, szarpana.

– Musisz z tym iść do pielęgniarzy.

Gustava podniósł się. Kuśtykał. Potrzebował pomocy, nie odważył się poprosić. Podeszedł Honza. Przyjrzał się Gustavowi i nareszcie przypomniał sobie, skąd go zna. To przecież były mąż Hanki.

Do Domu wracali osobno. Hanka najszybciej. Dużo kosztowała ją dziarskość, dzięki której mogła schować przed Honzą i Gustavem szarpaną emocjami twarz.

Kilka metrów za nią Honza. Znowu tkwił między nimi. Cóż, znajdzie się inny Dom. Mógł się domyślić, że miejsce po Dziadku będzie przeklęte. Całe życie turkotanie na trzeciego.

Na końcu Gustav, ledwo szedł. Zadowolony, że dał się pogryźć. Ból hamował natłok myśli. Dom miał być nowym początkiem. Tymczasem zaciskał się kolejny krąg.

Okładka:
Joanna Walczykowska

Zdjęcie autorki:
Jana Kubíčková

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-68015-02-7
[fragment]

Druk i oprawa:
Druk-24.com.pl
ul. Hurtowa 19
15-399 Białystok

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

[Kup książkę](#)

Od autorki:

Opowiadam o milczeniu, ponieważ zakładam, że przez człowieka coś, ktoś nie tylko może „mówić”, „przemawiać”, ale także „milczeć”, „przemilczać”. Milczenie z jednej strony marginalizuje, wyklucza z uczestnictwa w dialogu, ale także uwalnia od zgiełku, natłoku słów, informacji. Uprzywilejowuje, ponieważ daje możliwość wycofania się z myślowego, słownego rumoru i wejścia w rolę uważniejszego obserwatora. Może w swej istocie, paradoksalnie, milczenie przemawia bardziej niż mówienie, tylko jako istoty narracyjne czujemy się zdezorientowani w pauzach pomiędzy słowami?

Joanna Kauer

Wśród nietuzinkowych bohaterów powieści Joanny Maurer najważniejsza jest trójka – Hanka, Honza i Gustav. Obciążeni odmiennymi historiami rodzinnymi, kształtowani przez inne środowiska i przemiany w Czechach. Ale mają też wspólną przeszłość – życie w czasach reżimu i transformacji ustrojowej oraz doświadczenie nieprzewidywalności losu – co staje się dla autorki podstawą eksperymentu. Fabularnego i egzystencjalnego. Kiedy nieoczekiwanie spotykają się po latach w Domu Spokojnej Starości, pod wpływem impulsu porywają się na odważną korektę doświadczeń. A czytelnik stawia pytania. Czy możliwa jest puenta życia na własnych warunkach i konfrontacja z decyzjami (nie)podjętymi w młodości i ich konsekwencjami? Czy powrót do przeżytych dobrych i złych chwil pozwala lepiej rozumieć siebie, szanować w sobie także strefy milczenia? Nieoczekiwane zwroty akcji, ironia i autoironia współlistnieją tu z nostalgią, świadomością nieuchronnego potyknięcia się o żelazne reguły życia.

MELANCHOLIA
CODZIENNOŚCI



Kup książkę

ISBN 978-83-68015-02-7



9 788368 015027